

wsze cieszyli się w Kościele wielkim autorytetem, ale św. Maksym był tym, który jako pierwszy zaczął systematycznie komentować dzieła poprzedników, wyjaśniać ich ujęcia teologiczne i postawy duchowe oraz określać stopień ich autorytetu. Autorytet ten nigdy nie miał przede wszystkim charakteru *kanonicznego* w sensie formalnym i ścisłym, chociaż z biegiem czasu i taki autorytet został im nadany. Ich autorytet miał i ma przede wszystkim charakter *charyzmatyczny*, opierając się pierwszorzędnie na udzielonej im asystencji Ducha Świętego. Taki właśnie autorytet uznaje u Ojców ks. Kania i chyba zawsze taki autorytet pragnął im nadać, mówiąc, że Ojców nie tylko trzeba słuchać i znać, przynajmniej w istotnych kwestiach teologicznych, duchowych i dyscyplinarnych, ale przede wszystkim, że należy ich kochać. Miłość, jest postawą odpowiadającą charyzmatycznej pozycji Ojców, właściwie jedyną możliwą postawą, która – jak pokazuje sam ks. Kania – może rzeczywiście doprowadzić do pójścia wytrwale i owocnie ich drogą. W *Adversus haereses* św. Ireneusz zauważa, że „*depositum iuvenescens* – depozyt odmładza”. Ireneusz nie pomylił się – stwierdzamy to patrząc na ks. Kanię, który przez dziesiątki lat strzeżenia i zgłębiania depozytu wiary, tego samego, który strzegli i zgłębiali święci Ojcowie, zachowuje nieustannie młodość ducha i intelektu. Ufamy, że *Świadkowie Tradycji* nie są ani ostatnim, ani przedostatnim słowem patrystycznym wypowiedzianym przez „Ojca Ojców” w Tarnowie.

Ks. Janusz Królikowski, Tarnów-Rzym

**Gustaw FABER, *Merowingowie i Karolingowie*, tłum. Zbigniew Jaworski, Warszawa 1994, Państwowy Instytut Wydawniczy, ss. 246.**

Po blisko 15 latach od ukazania się oryginału trafiła do rąk polskiego czytelnika książka niemieckiego historyka, Gustawa Fabera (*Das erste Reich der Deutschen. Geschichte der Merowinger und Karolinger*, München 1980, C. Bertelsmann Verlag). Polski przekład, noszący tytuł *Merowingowie i Karolingowie* ma już swój 5-letni żywot. Rzecz wydana na dwa lata przed 1500 rocznicą chrztu króla Franków Chlodwiga, ma stanowić dobry przyczynek do poznania bliżej historii państwa frankijskiego, w okresie od V do IX wieku. Służyć temu ma, zdaniem autora, oparcie się na badaniach źródłowych, na pracach archeologicznych, na najnowszych studiach historyczno-lingwistycznych i laboratoryjnych (s. 13). Sięgnijmy zatem po ową obiecującą lekturę, by przekonać się, czy taką jest w istocie. W próbie ukazania znaczenia chrztu króla Chlodwiga dla ukształtowania się wczesnofrankijskiej rzeczywistości, cenną rzeczą jest oparcie się autora na podstawowym dziele źródłowym, jakim jest *Historia Franków* św. Grzegorza z Tours. Bazując na nim, Faber stara się odtworzyć szczegółowo sam przebieg chrztu z roku 496, a co

ważniejsze, ukazać motywy, którymi kierował się król Franków w podjęciu decyzji przyjęcia chrześcijaństwa. Dziwi więc takie stwierdzenie niemieckiego historyka, że obecnie nauka historii nie zadawała się „romantycznym upiększaniem brzemiennych historycznych wydarzeń” i „odnosi się sceptycznie do ślubowania Chlodwiga” (s. 41). Po takim stwierdzeniu o wiele korzystniej wygląda szerokie omówienie przez autora odkryć archeologicznych, na podstawie których formułuje swoje wnioski. To niewątpliwie wzbogaca treść książki i podnosi jej walor naukowy. Te niewątpliwie zalety książki zdają się potwierdzać powszechne przekonanie o niemieckiej nauce, która w dziedzinie historii ma być mistrzowsko dokładna, zwłaszcza gdy idzie o opisywanie faktów. Nieco gorzej zaś wygląda u niej sprawa oddania w sposób należyty wątku powszechno-dziejowego. Zobaczmy zatem, czy lektura książki potwierdzi to przekonanie.

Opisując wędrówkę Anglów i Sasów przez Morze Północne, w celu zajęcia rzymskiej prowincji Brytanii, każe im to uczynić autor w roku 449. Zdziwienie budzi ta data, gdyż w 428 roku te plemiona oraz Jutowie, o których G. Faber zapomniał, gromadnie przeprawiali się przez morze z Dolnych Niemiec (Zob. K. Bihlmeyer – H. Tüchle, *Historia Kościoła*, t. 1, Warszawa 1971, s. 239; także, R. Collins, *Europa wczesnośredniowieczna 300-1000*, Warszawa 1996, s. 185nn.). Kiedy strona 23 przynosi nam informacje o rzymskim wodzu Odoakrze, który w 493 roku (!) złożył z tronu cesarza Romulusa Augustulusa, to kilka stron dalej czytamy, że Odoaker, tym razem występujący jako germański wódz zaciężników, odsunął był owego cesarza od tronu w 476 roku i „... posłał cesarskie insygnia do Konstantynopola, na dwór wschodnio rzymskiego cesarza” (s. 31). Idźmy dalej tropem tej dokładności. Opisując wydarzenia Soboru Nicejskiego z 325 roku, powiada autor, że biskup Konstantynopola Atanazjusz (!) bronił na owym soborze bóstwa Chrystusa (s. 35). Na stronie 58 informuje nas autor, że kasata zakonu jezuitów nastąpiła w 1880 roku (!). Z podobną dokładnością podana jest data śmierci św. Joanny d'Arc w 1419 roku (s. 87, zamiast 30 maja 1431 r.). Nie można też pominąć informacji ze s. 127, mówiącej o założeniu przez św. Benedykta klasztoru na Monte Cassino w roku 520 (stało się to 9 lat później). Poziom znajomości faktów i osób ukazuje nam autor, gdy opisuje sprowadzenie przez niejakiego Waltberta, saskiego hrabiego, relikwii męczennika Aleksandra, który był synem św. Felicyty, niewolnicy, która poniosła śmierć męczeńską w roku 203 wraz ze swoją panią Perpetuą (s. 160). Pogratulować wiedzy, zwłaszcza, gdy dodamy do tego datę męczeństwa św. Gereona, który, jak twierdzi autor, został ścięty za wiarę w Kolonii w 318 roku, za panowania Dioklecjana (s. 205).

Porzućmy jednak męczenników, bo okazuje się, że nie tylko prześladowcy mieli z nimi kłopoty. Może łatwiejsze będzie ustalenie, kiedy główni bohaterowie książki uzyskiwali korony, nie męczeńskie, lecz ziemskie. I otóż na s. 202 autor pisze, że „Lotar II uzyskał koronę nie w drodze dziedziczenia, lecz dzięki

łaskawości papieża Jana VIII (872-882)”. Sęk w tym, że chodzi tu o Karola Łysego, gdyż Lotar II, nim papież Jan VIII objął stolicę Piotrową w 872 roku, od trzech lat spoczywał już w grobie.

Można by przytaczać więcej takich „ściśłych” informacji, ale wyszukanie ich pozostawiamy czytelnikowi, a będzie miał pyszną zabawę. Przejdźmy do wątków powszechno-dziejowych, opisaniem których zajął się obficie Faber w swojej pracy. Omawiając działalność św. Bonifacego stwierdza m.in., że dzięki jego reformom nastąpił „rozwoj hierarchii kościelnej z Rzymem na czele” i powstał „Kościół państwowy, a jego wierność wobec Rzymu wywołuje przewrótściowanie Stolicy Apostolskiej” (s. 134). Dalej mamy zdaje się wyjaśnienie, jak do tego doszło. Otóż zawdzięczamy to cholerycznemu usposobieniu św. Bonifacego, który różni go od ponurego fanatyzmu innego wielkiego apostoła Europy św. Kolumbana. Dodajmy do tego zdrowy rozsądek, silny fluid, jakim emanował i wiekopomne dzieło gotowe<sup>1</sup>; z inicjatywy takiego to świętego, który nakłonił episkopat frankijski do uznania zwierzchnictwa Rzymu, doszło do „utworzenia papieskiego Kościoła w zachodniej Europie” (s. 136).

Nieco dalej autor, snuje wątek o Longobardach stwierdzając, że oto „... namiestnikowi Chrystusa groziło niebezpieczeństwo utraty przodującej pozycji w chrześcijaństwie i pozostania w przyszłości jednym z wielu prowincjonalnych biskupów longobardzkiej Italii...” (s. 140). Pozostając przy Longobardach bardzo odkrywczo pisze, iż wyznawali oni podobnie jak Frankowie katolicyzm (s. 164). Zapomniał autor dodać, choćby niewielkie wzmianki, o procesie ich przejścia z arianizmu na katolicyzm, może dlatego, iż niejaką rolę odegrał w nim ów – zdaniem autora – ponury fanatyk św. Kolumban Młodszy.

Wielka praca chrześcijaństwa wokół zaprowadzenia *civitas Dei*, podjęta przez pokolenia ludzi świadomych tego zadania, takich choćby jak papież Hadrian II, Leon III, czy cesarz Karol Wielki, utrwaliła – zdaniem autora – „świecką władzę kurii”, co w rezultacie dało tylko „krwawe spory między cesarzami a papieżami” opóźniając „o tysiąc lat zjednoczenie Włoch” (s. 165), by w końcu okazać się „mrzonką bez realnych wartości przynoszącą [...] tylko nieszczęścia” (s. 216). Ciśnie się od razu pytanie: skoro jest to mrzonka, to czemu sam autor na s. 215 pisze, że dzięki chrześcijaństwu stworzone zostały podwaliny pod Europę? Może wyjaśnieniem tego jest takie oto kuriozalne stwierdzenie autora, które właśnie ma zabarwienie rasistowskie, mianowicie: „przejawiająca się u Franków germańskość stworzyła zaczyn dla dalszego rozwoju świata od zmierzchu antyku aż po dzisiejsze czasy” (s. 215).

<sup>1</sup> Warto sprecyzować to w oryginale. Otóż na stronie 185 (w przekładzie na s. 135) czytamy: „Bonifatius ist weit entfernt vom düsteren Fanatismus eines Kolumban. Trotz einer choleryschen Veranlagung bleibt er im allgemeinen leutselig. Er muß ein erhebliches Fluidum, zugleich einen klaren Verstand besessen haben...”.

Następna rzecz, która podważa wywody autora, to częste niestety błędne przekonanie, że postęp to kategoria czysto chronologiczna. Według tego mniemania to, co jest bliższe naszym czasom jest lepsze, zaś im odleglejsze w przeszłość (np. średniowiecze) to przestarzałość. Wydaje się, że autor uległ owemu bałamutnemu pogładowi o ogólnej ciemności wieków średnich. Pisząc o renesansie karolińskim utrzymuje, że nie jest to sformułowanie szczęśliwe, gdyż prawdziwy renesans nastąpił dopiero w Italii ok. 1300 roku (s. 174). Podczas gdy oświatowa działalność Karola Wielkiego miała wyraźnie klerykalne zabarwienie, to ów późniejszy prąd dążył do „kulturalnego i artystycznego wyzwolenia się spod kościelnej kurateli” (s. 174). Do tego można dodać coś, co właściwie trąci marksistowską walką klas; ukazując stany społeczne Europy, Faber twierdzi, że zamożni w starożytności hołdowali zasadzie „dolce vita”, zaś masy ludowe żądały tylko „panem et circenses” (s. 18). W średniowieczu następuje postęp polegający na tym, że możni nie czuli się zobowiązani do popierania dobra ogólnego, zaś większa część ludności była mało ruchliwa, bowiem możni tłumili awans i energię szerokich mas ludowych (s. 183).

Powstaje zatem pytanie: jeśli nie papieże i władcy chrześcijańscy, jeśli nie „ponurzy” mnisi, jeśli nie zamożne warstwy i te, które nie ruszały się, to kto budował ową *civitas christiana*? Przecież ta *civitas*, w epoce wyraźnie nie cieszącej się sympatią autora, wytworzyła i posiadała taką choćby organizację społeczną, jaką był średniowieczny samorząd, odznaczający się tak wielką siłą, że w jego łonie załatwiała się większość spraw publicznych! A może powinien autor przyjąć do wiadomości stwierdzenie, że każda społeczność, w każdej epoce musi pracować i być czujną, by nie dopuścić do zaniedbania kulturalnego, społecznego, czy państwowego, w przeciwnym bowiem razie społeczeństwo się cofa w każdej epoce. Tyle o postępie wg G. Fabera. Roi się w książce również od błędów logicznych i nieprawidłowych skrótów myślowych. I tak dla ilustracji: na s. 140 autor pisząc o tzw. sporze o obrazy stwierdza, iż „Bizancjum doszło do przekonania, że cześć oddawana obrazom świętym jest bałwochwalstwem”. W następnym zaś wierszu czytelnik dowiaduje się, że w tymże Bizancjum byli owszem ikonoklaści, ale byli także zwolennicy kultu obrazów. Więc jednak nie całe Bizancjum. Klasyczny błąd *pars pro toto*. Błędne logicznie dywagacje, trącające złośliwością, odnajdujemy również w takich oto dwóch przeciwstawnych zdaniach, dotyczących życia zakonnego: „zgodnie z pierwotną orientalną koncepcją reguły zakonnej obowiązywała zasada umartwiania ciała aż do ziemskiego samounicestwienia, ucieczki od świata i neurotycznego biczowania się” (s. 127). Na tej samej stronie czytamy również zdanie zupełnie inaczej ukazujące samotne życie zakonne, bo oto dokonało się ono „w pocie czoła i trudzie myślenia” i w nim począł się „rozkwit umysłowy średniowiecza”, a „głównymi filarami kształtowania umysłów było szkolnictwo, kronikarstwo i uprawianie sztuk” (s. 127). Takich sprzecznych wniosków jest wiele, ale znowu pozostawić je należy uważnemu czytelnikowi.

Osobne pole twórczości G. Fabera stanowi jego stosunek do chrześcijaństwa. Widać tu wprost niechęć do tego wszystkiego, co związane z Kościołem, moralnością i cywilizacją chrześcijańską. O jego spojrzeniu na zakony, które kształtowały oblicze Europy, już mówiliśmy wyżej. Dodajmy tylko, iż zdaniem autora, klasztory były wprawdzie ośrodkami nauki, ale wykładane tam dyscypliny służyły celom duchowym. No a cóż powiedzieć o przełożonych tychże opactw, którzy nawet czyniąc reformy, nie dążyli wcale do liberalizacji, lecz do „zasklepienia się w dusznym klimacie klerykalnej reakcji” (s. 186). Skutek tego taki, że „rozpoczyna się mistycyzm wrogi ciała i skierowany ku transcendencji mrocznego średniowiecza” (s. 186).

Rysem charakterystycznym podejścia autora do omawianych przez niego spraw jest jego stosunek do papiestwa. Uwagi czynione wobec Stolicy Apostolskiej i papieży wykazują chorobliwą złośliwość, którą mogą tłumaczyć bądź wyrzuty sumienia naukowca typu oświeceniowego, bądź kompleksy właściwe niektórym ciasnym środowiskom protestanckim. Z wielu tego typu wątków warto tu przytoczyć tylko jeden. Rzec dotyczy papieża Leona III. Ponieważ nie sposób zaprzeczyć, iż należał on do jednych z najbłędszych polityków swego czasu, więc autor z satysfakcją czyni aluzję do jego imienia, oczywiście kąśliwą pisząc, że „Leon był wszystkim innym, tylko nie lwem” (s. 169). W następnym zdaniu mówiącym o zamachu na papieża w 799 roku, z ironiczną satysfakcją stwierdza, iż tak oto „ściągnięto arcykapłana z konia [...] zalany krwią namiestnik Piotra [*Nachfolger Petri*] leżał na bruku” (s. 170).

Poglądy autora na moralność chrześcijańską możemy poznać choćby z tego, gdy czytamy np. jego wywody o małżeństwie jednego z synów Chlotara, Chariberta z „przyobleczoną”, czyli mniszką. Było to oburzające, ale tylko według ówczesnych pojęć (s. 76). W podobny sposób mówi o małżeństwie Meroweusza z królową Brunhildą, mianowicie, iż „na małżeństwie tym ciążył, dla nas nieistotny, wówczas jednak szczególnie ważny czynnik prawo kanoniczne, które zabraniało związku małżeńskiego między bratankiem i ciotką, a które miało priorytet w stosunku do prawa świeckiego. Mimo że w przypadku małżeństwa Meroweusza z Brunhildą nie zachodziło pokrewieństwo krwi, to jednak żaden duchowny nie odważyłby się pobłogosławić takiego związku, który równy był grzechowi śmiertelnemu” (s. 87). Mimo to, tenże Meroweusz „pragnąc zapewnić sobie przychylność św. Marcina, przyjął tam [w Tours] komunię, tak mocno wierzone w owej epoce w skuteczność kultu” (s. 89). Przytoczyliśmy ten długi fragment tylko dlatego, gdyż obrazuje on poglądy autora na moralność i religijność chrześcijańską. A skoro mowa o pobożności, to, zdaniem autora, modlitwa chrześcijanina w średniowieczu, zwłaszcza duchownych, jest bełkotem i mamrotaniem (s. 206, 210), zaś „masowe modlitwy” o zbawienie wieczne zależne były od pozycji społecznej (s. 201). Ponieważ autor odrzucił i wyśmiał wartość pobożności i moralności chrześcijańskiej, to tylko patrzeć jak odrzuci samo chrześcijaństwo. I rzeczywiście, przysłowiową kropkę nad „i” postawił

Faber w rozdziale zatytułowanym „Karol Młot ratuje Zachód” (s. 120-126), gdzie przeprowadza „odkrywcze” gdybanie, co by się stało, gdyby Zachód znalazł się pod panowaniem islamu. Otóż wówczas, zdaniem autora, Europa nie zatonąłaby w zalewie barbarzyństwa. Na przykładzie okupacji arabskiej w Hiszpanii można bowiem stwierdzić, że nie nastąpił tam upadek kultury, lecz jej rozkwit „jak nigdzie indziej w ówczesnej chrześcijańskiej Europie” (s. 125). Pisze Faber, iż właśnie w Hiszpanii „zachowano antyczny dorobek myślowy i poczucie rzeczywistości, rozwinęły się nauki ściśle [...] nie osiągnięty w żadnym wypadku w dzisiejszej Europie cel tolerancja stałby się wówczas udziałem Zachodu [...], nie byłoby ani inkwizycji, ani polowań na czarownice, ani prześladowań Żydów. [...]. Wschód i Zachód byłyby, jak w starożytności, jednością, a chrześcijaństwo ograniczałoby się do wschodniej Europy” (s. 125). Nawet postęp techniczny przyjąłby bardziej humanitarne formy. I cóż na to czytelnik? Wypada tylko autorowi tych bredni, wyrazić ubolewanie, że nie może żyć w tolerancji i pisać, używając jego słów, „pod słońcem Allaha” podobnych rzeczy o islamie.

Co do tłumaczenia książki na język polski, to trzeba przyznać, że jest wierne, co do słów. Zrozumieć należy rolę tłumacza, który ma oddać wiernie tekst. Jednak 14 lat od czasu wydania oryginału, to wystarczający okres, by zapoznać się z faktami i zamieścić tam, gdzie trzeba, odpowiednie sprostowania. Do licznych błędów zawartych w niemieckim wydaniu książki dodał tłumacz swój, którego nie ma w oryginale, mianowicie mówi, że Pepin Krótki był ojcem Grifo. W rzeczywistości ojcem był Karol Młot, a Pepin był tylko bratem Grifo (s. 141, por. drzewo genealogiczne Karolingów s. 22).

Czas na podsumowanie: skoro autor często posługiwał się ironią, więc w podsumowaniu możemy pójść jego śladem. Może to porównanie będzie zbyt dalekie, ale wydaje się, że książka ta powstać mogła przy kuflu piwa. Tylko niestety, walory książki nie odpowiadają jakości niemieckiego piwa. Dziwić się zatem należy, że tak zasłużone wydawnictwo, jakim jest PIW, wydało podobną rzecz i to w grubych okładkach. Pewnie, że papier się nie rumieni, ale warto go było w tym przypadku zaoszczędzić.

Ks. Stanisław Koczwarą – Lublin

**Heinrich KRAFT, *Slovník starokřesťanskej literatury, z nemeckého originálu preložil Vojtech Mikula S.J., Trnava 1994, Dobrá kniha, ss. 441.***

Dobrze znany europejskim czytelnikom niemieckiego kręgu językowego *Kirchenväter Lexikon* Henryka Krafta słowacki odbiorca dostał bardzo późno, bo z 30-letnim bez mała opóźnieniem, jeśli weźmiemy pod uwagę daty publi-